Nro 20.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 21 września 1844. Rok piąty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 7 września 1844.

Stroje damskie. Zaczynają się tu bardzo zajmować jesienią i nic nadto roztropniejszego, gdyż miesiąc wrzesień już ma często dnie tak zimne, że niebezpiecznie jest używać lekkich i świeżych ubrań które stosowne są tylko w porze letniej; słuszna jest zatem, żądać w podobnym razie od mody ochrony przeciw nagłej zmianie powietrza. Zatem po wszystkich pracowniach stroje mieszane są w robocie, i niebawem będziemy mogli, tak w opisach jakoteż i rysunkach dać wyobrażenie o najpiękniejszych i najwygodniejszych ubraniach jesiennych.

Tymczasem opiszemy trzy bardzo ładne suknie zauważane na jednej z ostatnich przechadzek w polach elizejskich. Najprzód suknia z materii włoskiej, w odcienia różowe i zielone, z spodnicą otwartą na boku przez całą długość sukni i przyozdobioną drobnym płaskim haftem; stanik przy tej sukni wysoko zachodzący, marszczony u ramion i w pasie, i z małemi haftowanemi wyłogami; krój ten od mód męskich pożyczony, bardzo przypomina kamizelkę na wskos krajaną; rękawy sposobem wschodnim, węższe u góry, szersze u dołu; drugie rękawy muszlinowe. Druga suknia z pekinu w cienie; spodnica przy tej sukni gładka; stanik bardzo zachodzący z końcem zaokrąglonym, u spodu gładki, a marszczony troche u ramion; rękawy gładkie, prosto krajane dochodzące tylko do połowy ręki. Nakoniec suknia z materii *poult-de-soie*, z spodnicą gładką, z stanikiem także gładkim bez paska, z obcisłemi rękawami.

Obok tych sukień widzieliśmy także dwa prześliczne płaszczyki; jeden z nich z haftowanej tarlatany, kitajką różową podszyty, zaokrąglony z tyłu, ścięty czworogrannie u góry ramion, długi z przodu, z małą pelerynką, która się zakończa u pasa fontaziem z kitajki różowej i obszytym wkoło czarną szeroką korunką. Drugi płaszczyk jest z muszlinu haftowanego, w kształcie rańtucha, obszyty wkoło kitajką różową w rurki układaną.

Widzieliśmy także kapelusze i kapotki które uzupełniały zbiór o którym mówimy, i które również nosiły piętno najwytworniejszego smaku. Kapotka z krepy koloru szmaragdowego, ubrana pod spodem ukosami z tiulu białego i fontaziami z atłasu także koloru szmaragdowego. Kapelusz z białej krepy jedwabiem haftowanej, ubrany piórem peruwiańskiem uderzającej białości i wstążkami z gazy haftowanej, z fontaziami z atłasu błękitnego; w końcu zachwycająca kapotka *polka* z białej krepy.

Stroje męskie. Strój jesienny składa się w tej chwili z surduta o dwoch rzędach guzików z kołnierzem bez wycięcia, z szerokiemi klapami, wyłożonemi swobodnie, w końcu z kieszeniami po obydwoch połach umieszczonemi troche pochyło. Spodnie do takiego surduta są fałdowane i bardzo szerokie. Rysunek tego surduta załączony do dzisiejszego numeru dla majstrów krawiectwa.

Wszędzie już się znajdują po sklepach materie na stroje jesienne; są one w kolorach bardzo mocnych między któremi dają się postrzegać paski, kratki na dnie jaspisowem, tygrisiem, chińskiem itp.

R y c i n a p r z e d s t a w i a: suknię jedwabną z falbaną, kapelusz bastowy z piórem. Drugi szlafroczek z *pondyszery* wełnianej haftowanej, kapelusz jedwabny z kwiatami. Trzeci szlafroczek jedwabny mieniący w kraty, rękawy otwarte, axamitem garnirowany, kapelusz ryżowy, ubrany wstążkami. Czwarty strój do polowania konnego. Piąty surdut do rannego ubrania o jednym rzędzie guzików i kieszeniami ukośnemi na połach.

UŚMIECH SZYDERCZY.

OBRAZ FANTASTYCZNY

PRZEZ

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO.

Różne są na świecie zdybania, bo po różnych miejscach krzyżują się drogi ludzkie, póki wszystkie nie zajdą razem na smętarz, gdzie się zwykle owi wszyscy żywi zdybujący po balach i ogrodach, miastach i teatrach, zdybują po raz ostatni trupami!... Ja zaś żywy, żywe miałem z żywym zdybanie na lichym wiejskim smętarzu, któremu to zdybaniu winien byłem kilka chwil użycia umysłowego, jeżeli nie co więcej jeszcze; a łaskawi czytelnicy tę powiastkę. Tak jest, na smętarzu zdybałem się z bohatyrem tej powieści. Rzecz się zaś tak miała.

Jarem podolskim, ciągnęło się razem trzy wiosek nad trzema stawami połączonemi młynówkami, co było nieustającym powodem do kłótni sąsiedzkich, kłótni które namełły nieraz więcej słów niżeli trzy młynki mąki. Ściany jaru stanowiły jak zwykle w Podolu dwie góry, co wiemy ze słów, pana Alexandra Przezdzieckiego, który nawędrowawszy się po Podolu, powiedział je po francusku, z tem ostrzeżeniem, że tylko w tym języku mogą należycie myśl wytłumaczyć. Niewdając się jednakże w to, czy lepiej powiedziano, *»c'est notre manière d'avoir des montagnes«* czyli po prostu, gdyby nie jary, niebyłoby gór na Podolu, powiem tylko że te dwie góry o których mówię, patrzące na siebie, były w równej między sobą kłótni jak i mieszkańce podgórzowi; nie kłóciły się w prawdzie o młyny, ale były za to całą swoją powierzchownością w największem z sobą przeciwieństwie. Jedna góra jaru była cała naga, połamana, stercząca jakby szkielet olbrzymi pożebrowanemi skałami, z których tu i owdzie wyglądały rzeczywiste kości ludzkie, resztki zapewne czasów tatarskich. Druga strona jaru, miękko zaokrąglona zasłoniła kamienne swe kości najzieleńszą murawą, nad którą powiewały gdyby klomby, rozrzucone gaje brzozowe i olchowe, leszczyną niknące w załomach jarowych. Nie dosyć na tem, ale jakby na przekorę większą, gdy po zielonych gajach kręciły się ścieżki do różnych futorów i sadów wiodące, na górze nagiej i pustej, na najwyższem skały urwisku stał zawieszony las krzyżów smętarzowych, otoczonych jakby gruzami, murem złożonym z kamieni granitowych. Toteż z żadnego miejsca nie było tak pysznego widoku, jak z smętarza o którym mówię; szczęście, że umarli spokojnie leżeli, boby ich pokusa brała wrócić do życia tak ponętnego!...

Od niejakiego czasu należałem do mieszkańców tego jaru, i jakkolwiek łaskawa panna Eulalia, jedna z najpiękniejszych nimf tego jaru, twierdziła że dopiero pare tygodni przeminęło, ja dzięki kłótniom i swarom o wodę i młyny panów sąsiadów, myślałem że pare lat już przeszło. A przecież nieodjeżdżałem, bo... Trudno mi dziś spamiętać wszystkie powody, to tylko przypominam sobie że panna Eulalia miała oczy czarne jak... jak... tereń!... które to porównanie przypomina czasem, drugi wiersz tej ruskiej piosenki. *»Kołysz my się poberem!«* Byłato sobie hoża i rumiana Podolanka, pełna wiejskich zalotów... a ja miałem wówczas ośmnaście lat!...

— I wczoraj go pan niewidziałeś?... przerwał długie pośniadaniowe milczenie mój gospodarz.

— Nie widziałem.

— Ależ pan Ignacy, łaskawy mój sąsiad, który mi zawsze podtapia młynek, twierdził że znowu siedział między mogiłami od północy do rana.

— Patrzałem przez moją perspektywę....

— Musiał być ukryty za krzyżem, trzebaby pójść na miejsce....

— A broń boże!... niech papa nie radzi takich rzeczy; przerwała piękna Eulalia, z wyrazem przestrachu o moją godną osobę: ktożby znowu chodził po północy, kiedy żywi śpią, a umarli chodzą.

— Ależ on żywy!....

— Kto wie, może to duch, albo upior, co to o nim tak pięknie napisał ten angielski autor, którego pan czytałeś nam... ten...

Byron!... podpowiedziałem.

— Wie pan, że długo po przeczytaniu Wampyra, za każdem pchły ukąszeniem bałam się czy to nie usta upiorowe....

— Pleciesz Eulalio! to są skutki czytania romansów!... gdzieżby duch kupował wioski, a przecież to pewna, że przed miesiącem kupił Lizynce tę wioseczkę na drugim końcu jaru naszego.

— Dobrze papo, ale odkąd kupił, czy go kto widział lub słyszał kiedy....

— To prawda!...

— Czyliż się papa nie pogodził umyślnie z panem Ignacym i za pomocą pana Sotera, który ojcu do wszystkiego pomaga, zatopiliście mu jego młynek, a on milczał, i pewnego poranku znikł młyn bez wieści.

— Co do kropli prawda!...

— Czy być może, i nie rozgniewał się?...

— Ale co więcej kochany przyjacielu, posłaliśmy delegację z przeproszeniem; owoż posłaniec widział tylko jakiegoś służącego starego, który powiedział,

że pan żadnych nie przyjmuje poselstw, nikogo widzieć nie chce, i na nikogo się nie gniewa.

— Czemuż nikt nie chodził na smętarz, by go tam zobaczyć, jeżeli to on tam po nocy chodzi?

— Ba! odpowiedział ojciec.

— Ba! odpowiedziała córka.

I nie wiem nawet, dla czego się pytałem, bom się już dawno mógł przekonać, że odwaga wraz z oświatą, zostały się za jarem. Nic więcej nie pytałem, choć zadziwione rzucała na mnie spojrzenia panna Eulalia, któraby rada była mi odpowiadać.... Trzeba wiedzieć, by zrozumieć położenie moje, podobne do pączka w maśle, że jeden mój przyjaciel puścił w okolicy wiadomość o ogromnem dziedzictwie które spadło na mnie.

O północy byłem na smętarzu. Ktoż nie wie coto jest smętarz wiejski; wnet go obiegłem wokoło nie postrzegłszy nikogo, gdy raz jeszcze wracając środkiem, stanąłem koło jednego wspaniałego pomnika, wystawionego jednemu z rajców tej kłótliwej szlachty na dole. Byłto krzyż kamienny, ściśnięty między dwie figury schylone nad nim w postawach takich, jakby dla igraszki dziecinnej chciały się walić w głowy swoje. Teraz dopiero postrzegłem, że z pomiędzy nich, jakby z pod baldakimu tych dwoch twarzy kamiennych wystawała trzecia; mimo odwagi, którą zza jaru przywiozłem, stanąłem osłupiały; rysy tej twarzy zdawały się być żywe, ale bladość była duchowa, a nieruchomość nagrobkowa. Długo trwało zanim przyzwyczaiłem umysł i oko, i dopiero dostrzegłem mężczyznę w długiej czarnej sukni prawie zakonnej, z kapturem na głowie, ujmującym w ciemne ramy bladą, przeciągniętą, i zmarszczkami pooraną twarz. Niemogłem zmiarkować, czy patrzy na mnie, jakkolwiek spostrzegłem czasem blask migotny oczów jakby od świecącego pruchna pochodzący, albo od robaczka świętojańskiego. Zbliżałem się i odchodziłem, ale nadaremnie; postać siedziała nieruchoma; przystąpiłem tak blisko żem usłyszał oddech nierówny. Snać mnie postrzegł, podniósł się bowiem, ale tak powoli i niezgrabnie, że prawdziwie zdawały się członki jego ciała wstawać jeden po drugim, i łączyć w całośc tej wysokiej, chudej i kościstej postaci na długich nogach, z rękami długo wiszącemi, i twarzą dłuższą od zwykłych.

Zbliżył się do mnie i obejrzał, prawdziwie obejrzał, bo mnie z góry oblał jakby strumieniem spojrzeń zimnych i lodowatych, aż mnie w kościach ziębiło. Widmowata postać stała nieruchomo nademną, i tak uporczywie smutno patrzała na mnie, aż mi się żal zrobiło za ciepłem łóżkiem które porzuciłem tak nierozważnie; byłbym nawet uciekł może, gdyby nie nogi przykute do ziemi. Mruknął coś niezrozumiałego, i skłonił głowę nad twarzą moją, jakby na niej szukał czego; wyraz oczów zmieniał się pomału z poważnego i smutnego do tęsknego i płaczliwego prawie.

— Co tu robisz o tej godzinie na smętarzu? zapytał mnie łamaną polszczyzną. Po chwili milczenia spowodowanego moją odwagą, która zaczynała być na równi z odwagą mieszkańców tego jaru, powtórzył pytanie.

— Trzeba było odpowiedzieć koniecznie; wolałem zatem być szczerym. Do ciebie przyszedłem.

— Do mnie?... krzyknął! Byłto głos okropny; do śmierci go niezapomnę. Gdyby rospacz uosobić, i dać jej głos, byłby podobny do głosu nieznajomego.

— Do mnie?... powtórzył głosem tak przeciągłym, jakby w puszczę krzyczał: śmiać się!... śmiać nad grobami. Te słowa wymówił z tak głęboko czułym żalem, że mnie rozrzewnił.

— Nie śmiać się, ale płakać z tobą panie, bo musisz być bardzo nieszczęśliwy!...

— Płakać?... zawołał, i porwał mnie za rękę; przebiegł kilka kroków, i stanął nagle na samym kraju spadzistego jaru. Tu było jaśniej, niżeli w cieniu krzyżów i nadgrobków, przypatrywaliśmy się sobie nawzajem. Mimo strasznej chudości i bladości, bielszej od nagich kości i kamieni sterczących pod nogami naszemi, twarz jego i oczy miały tyle wyrazu rzewnego, że najtkliwszą uczułem litość nad nieznajomym, domniemywając się wielkich nieszczęść, a może pomieszania. Jakoż twarz moja musiała wiernie oddawać wewnętrzne wrażenie, ścisnął mnie bowiem za rękę, i słodszym choć smutnym zawsze przemówił głosem.

— Ty musiałeś być nieszczęśliwy; ty cierpiałeś już; tu koło ust twoich widzę rys smutku... nie uśmiech... tamten jest rysem prawdy, a uśmiech, to maska... okropna maska!... krzyknął przeraźliwie, widzisz tam!... i palcem skinął na przeciwległą górę, której cały labirynt gajowy woniał i nęcił oczy świeżą zielonością swoją....

— Tam błyszczy! na tym pięknym świecie!...

— Patrzałem, a mimowolnie drżały nogi podemną, włosy stawały do góry, ja myślałem że muszę widzieć koniecznie okropne jakieś zjawienie. I nic niebyło prócz brzóz białych, jakby śnieżne dziewczęta obwiane warkoczami spadających włosów liściowych; nic nie było prócz drzew sadowych rozkwitniętych, na których kwiaty powiewem nocnego wiatru poruszane, kołysały się jak białe koszulki; nic nie było, tylko tam na ścieżce coś się mignęło.

*

— Tam! krzyczał nieznajomy, na tej powabnej świata twarzy, uśmiech szyderczy!...

Patrzałem z natężeniem. Na ścieżce wiodącej w ciemny gaik, który otaczał pasiekę pana Ignacego migało się dwoje cieni ludzkich. Te dwie postacie zajęły mnie mocno, lecz darmo oczy wybiegały na wierzch, za ciemno było, by rozpoznać ubiór i twarze. Odwróciłem się do nieznajomego; juz go niebyło; darmo go szukałem po całym smętarzu; znikł zupełnie. Dziwnemi uczuciami miotany, wróciłem do pokoju mego, zajrzawszy do lasku gdzie nikogo już nie zdybałem; a nim sen nadszedł, marzyłem na jawie.

Ciekawość moja była pobudzona jak nigdy; chodziłem więc codzień na smętarz, i pomału poznałem bliżej nieznajomego, którego codzień zdybywałem; zacząłem go jaśniej rozumieć, i mocniej przestraszały mnie umysłowe widma, jakie się z słów jego wyszczerzały, niżeli pierwszej nocy widmowata postać jego. Długo trwało, zanim co więcej wyrozumieć z niego mogłem nadto, że był Francuz, od lat przeszło dwudziestu zamieszkały w Polszcze, gdzie przybył wygnany nieszczęściami z własnej ojczyzny; jak długo już w Polszcze będąc, tułał się z kąta w kąt, uciekając przed ludzką ciekawością, która go jak zwierza goniła z myśliwskim nielitośnym zapałem. Litowałem się szczerze nad nim, bo miałem wtenczas lat ośmnaście, i tej litości winien byłem że pomału zaczął mi scenę po scenie rozpowiadać dzieje swoje dawniejsze. By zachować wrażenie, spisywałem je ułamkami, jakiemi opowiadał; teraz gdy je przeczytuję, przypominam sobie cały ten przeciąg czasu jakby się to ledwie wczoraj stało; widzę że wszystko wiernie spisane, prócz tego głosu, tego wyrazu i tego spojrzenia, które ciągle wtórowały opowiadaniu nieznajomego, i nieraz żywiej tłumaczyły mi myśl jego, niżeli słowa. To była jego najsilniejsza wymowa, porywająca tak potężnie, że gdym go słuchał, nie wierzyłem w obłąkanie, które jednakże było widoczne; ja żyłem z nim i w nim; uczucia jego mojemi były uczuciami.

Ciąg dalszy nastąpi.

Rozum i serce.

Rozum i serce z jednej idą treści,
Jednej są matki, jednego rodzica,
Jednej istoty, choć różnego lica,
Jeden w obojgu duch boży się mieści.

Tylko psycholog, ten anatom ducha,
Serce i głowę w drobne cząstki kraje,
Układa system i naukę daje:
„Wola i czucie niech rozumu słucha."

Lecz gdy tak mędrzec wszystkiego dochodzi,
Gdy zbadał iskrę, która w nas goreje:
Niechże wyjaśni, czem i jak się dzieje,
Że myśl uczucie, a czucie myśl rodzi?

Jeśli są sprzeczne, różne w swej istocie,
Czemu myśl silna barwę w licu zmienia?
Raz krew ostudza, raz ją rozpłomienia,
Lub czemu czucie wstrzyma myśl w polocie?

Poniżasz serce, narzucasz mu pana,
Zwykle też biedne do więzów nawyka,
Lecz jakże często widzisz niewolnika
Wyższym w tych więzach od swego tyrana!

Wspaniale świecą rozumu pochodnie,
Piękny lot jego — on czyny wielkiemi
Głośno rozsłynął po szerokiej ziemi —
Lecz większe jeszcze są rozumu zbrodnie!

Serce, choć większą niechlubi się siłą,
Chociaż z rozumem nie zawsze jest w zgodzie;
Lecz nieraz w życia ludzkiego zawodzie
Co rozum zepsuł, serce naprawiło.

Po szczęście człowiek do serca ucieka:
W niem chowa wszystko, co mu miłem, drogiem,
I z serca tylko zda sprawę przed bogiem,
Bo serce tylko stanowi człowieka.

Jam duszy mojej nie skaził zepsuciem —
Lecz jeśli przyjdzie po ludzku mi zbłądzić,
Chciej wieczny duchu w dobroci swej zrządzić
Niech zbłądzę głową, lecz nigdy uczuciem!

W. Ch.

ULICZNIK PARYSKI.

przez

JULIUSZA JANIN'A.

Dokończenie.

Żyje on pod każdym klimatem, przywyka do każdej strawy i każdego losu; jest odważny, chełpliwy, wielki gaduła, fanfaron, świszczypałka, śmiały i zuchwały jak paź; wymowa jego jest niezmordowana, a umie opowiadać z wdziękiem i prostotą; wiele zarodu filozofii, cierpliwość na wszelkie próby, zupełna nieprzezorność i beztroskliwość we wszelkich stosunkach, pewne uczucie uczciwości i obowiązku, które go nigdy nie porzuca, oto jest tło charakteru tej szczególnej istoty, do której nic się nie da przyrównać we wszystkich europejskich krajach.

Ale otoż odbiegliśmy daleko od naszego wesołego dziecka, które zostawiliśmy w szkole gdzie uczy się pędem pierwszych zasad umiejętności, które naprzód zgaduje. Zaledwie lekcia skończona i dostał już na małą dłoń swoją pięć lub sześć placków linią, które z kolei mu się należały, i linia wyleciała już w powietrze w drobnych kawałkach za uderzeniem małego drewnianego sztylecika, który, jak się zawsze w podobnych okolicznościach pokazuje, należy do ulicznika paryskiego, woła on iż nadeszła już godzina rekreacii; pakuje w kieszeń swoje xiążki jeżeli je ma, i oto podskakując wybiega na ulicę, i pędzi co tchu do którego z fawórytalnych placów swoich, do *Chateau-d'Eau*, naprzykład, najpiękniejszego miejsca w Paryżu. Tam podczas gdy woda mrucząc wpada do swej kamiennej wanny, w cieniu drzew z bulwarów przy

wonnym dymie naprędce improwizowanych kuchni, bohatyr nasz przygotowuje się do stawienia całego majątku jaki ma dziś przy sobie na jedną z gier właściwych ulicznikom paryskim. Niewłaź mu w drogę, nie przeszkadzaj mu, a szczególniej nie zasłaniaj mu jego słońca, gdyż on gotów przemówić do ciebie słowami Diogenesa do Alexandra: »Ustąp się od mojego słońca.« Tylko wolno ci patrzeć na niego, bo on się o to wcale nie gniewa gdy mu się kto przypatruje; wie on dobrze w sprawiedliwości swojej że to tylko pożyczka do oddania. Tak więc ulicznik paryski gra sobie swobodnie a nieuwierzysz jak dłoń jego jest lekką; i dla tego też przez jakiś niedocieczony fatalizm, ulicznik paryski zawsze wygrywa; jestto jedna z tajemnic którémi ta szczególna istota jest otoczoną. Skoro wygrał, kupuje sobie mały rożek pieczonych kasztanów i z filuterną miną zajada je sobie smacznie popod sam nos przechodniom. To skończywszy, jeżeli ma czas, czyta obwinięcie swojego śniadania, jakąś potarganą kartkę z wczorajszego Konstytucionela, z której czerpie nowiny polityczne. Wtedy chce mu się pić, przechyla się tyłem głowy pod kaskadę i w otwartą swą niemałą buzię opatrzoną dwoma rzędami śnieżnych jak u małego pieska ząbków, połyka chciwie kropla po kropli dobroczynną rosę. To uskuteczniwszy, nasz człowieczek, przypomina sobie nagle iż ma gdzieś swojego pana, gospodarza, majstra, opiekuna, lub coś podobnego, i że nakoniec ma jakiś obowiązek lub jakieś polecenie do wykonania. Otoż czemprędzej leci, co mu tchu staje, nie dla tego aby się obawiał iż go wybiją lub wypędzą, ulicznika paryskiego nikt nie bije i nikt nie wypędza; przeciwnie jakiś instynkt nakłania go do kochania swojego pana; tylko że on go kocha po swojemu i kiedy ma czas. Zapytacie mię może czem się trudni ulicznik paryski? O! mój boże! powiedzcie mi raczej czem on się nie trudni, czego on robić nie potrafi, i czego on nie robi w swem życiu; toż nie wiecie, iż on posiada wszystkie wiadomości razem wzięte? On wszystko może, wszystko umie; to on tylko umie, ale umie dobrze. Jestli kowalem, onto poddmuchuje mieszkiem; jestli malarzem, onto rozciera farby; jestli szewcem onto przeciąga dratwę przez smołę; jestli drukarzem, onto wyczyszcza czcionki; jest on i królewskim prokuratorem, gdyż on w istocie jest spajającym gwoździem najważniejszych interesów. Nosi od jednego do drugiego biura adwokata, owe kontrakty w których największe posiadłości odmieniają swojego właściciela, te traktaty przymierza pomiędzy najznaczniejszemi rodzinami; anibyś się domyślił czasem iż ów świszczypałka, który pędząc przez ulicę obryzguje cię błotem, dźwiga często na sobie ciężar ogromnej fortuny, a niemniej przeto jest lekki i zwinny: ze wszystkich rzemiosł którémi on się trudni tak na wyższych jako i niższych szczeblach towarzyskiej drabiny, to do którego ulicznik paryski czuje najwięcej skłonności, jestto rzemiosło literata. Spojrzyj nań tylko jak ustrojony w trójrożny papierowy kapelusz dźwiga pod pachami, poważne dzieła historyczne, ulotne romanse, dramy prozą, tragedie wierszem; jest on wiernym i przemyślnym faktorem małej literackiej poczty, jest on kurierem dramy, wysłańcem poezii; wszystkie najpierwsze płody tak nowych jak nienowych myśli jemu najprzód są powierzone; onto najpierwszy dowiedział się o tem iż Niebuhr skasował siedmiu pierwszych królów Rzymu; iż Augustyn Thierry wynalazł kilku królow pod imieniem Klowisa; on wiedział najpierwszy iż pan *de Salvandy* pisał historię Napoleona, i uznał że historia była zanadto ładnie napisana; pewnego wieczora, przyszedłszy do domu, recytował on pudlowi swojego ojca, piękne wiersze jeszcze nie drukowane które pan *de Lamartine* napisał w Żoselinie do swojego ładnego pieska Fido. Ileżto razy niósł on w jednej kieszeni dwa artykuły polityczne za i przeciw temu samemu ministrowi! a on silny jedynie swoim zdrowym rozsądkiem pozostawał niewzruszony pomiędzy temi dwoma zarówno zapalczywemi wykrzyknikami. Z wybornym taktem nasz młody kolega literat wyznacza każdemu stosowne dla niego miejsce, sprawiedliwszy w tem od wszystkich na świecie dziennikarzy. Razu jednego przybywa on cały zadyszany do pana *de Chateaubriand,* w pospiechu swoim aby ujrzeć zbliska owego człowieka sławy popularnej: żwawy chłopczyna przeleciał jednym tchem długą ulicę, prowadzącą do domku na wysokiej górze w którym zamieszkiwał wówczas wielki poeta; przybywa tam, znajduje się w obecności pana *de Chateaubriand,* zostaje zachwycony jakgdyby stał przed cesarzem Napoleonem w jego własnej osobie, miesza się w końcu do reszty, on, który zwykle niczem niezmieszany! »Panie,« przemawia z nieśmiałością, przynoszę próbę do korekty! To mówiąc szuka swej próby; i z tylnych jego kieszeni wyzierały artykuły do przeglądów i romanse Pawła Koka; w kieszeniach bocznych wzdychały tragedie klasyczne; pod pachami napakowane i ściśnięte dyszały dramata romantyczne obok wodewilów pana *Scribe;* nawet kapelusz jego napełniony był wierszami i prozą, lecz tam w tej mieszaninie powszednich płodów, proza pana *de Chateaubriand* nie znajdowała się; malec był zakłopotany a na jego pięknej twarzyczce malował się najgłębszy smutek. »Nic to, nic! rzecze mu pan *de Chateaubriand,* nie wielkieto nieszczęście, zapewne zgubiłeś ją gdzieś na drodze.« Na te słowa powraca cała przytomność ulicznika paryskiego. »Oto ona jest! oto jest panie! zawoła« i wraz wyciąga szacowną kartkę którą umieścił był tuż przy swem sercu, aby i na chwile nie była zmieszana z ową balastową prozą i wierszami. Pan *de Chateaubriand* został wzruszony tym szczerym hołdem więcej, niż wszystkiemi pochwałami całej Europy. Wyciągnął dłoń swą i podał malcowi który ją ucałował z tkliwem uszanowaniem. Ależbo ulicznik paryski przywykł oddawna dotykać zbliska tej popularnej chwały. W ostatnim dniu rewolucii lipcowej, gdy ulicznik paryski powracał z Luwru ani dotknąwszy bogactw tam zgromadzonych, onto odkrył zpośród wzburzonego ludu i zbrudzonego bruku, tego wielkiego poetę, który torował sobie drogę przez wezbrane powodzie aby się coś dowiedzieć o swoim monarsze; natychmiast ulicznik paryski wykrzyknął: Wiwat! i w tryumfie uniósł szlachetnego więźnia.

Szczególniejto w owych dniach zawieruchy i wzburzenia, gdzie wszelki porządek zostaje wywróconym, ulicznik paryski oddycha właściwem sobie powietrzem, jest on wtedy cały w ruchu, w zapędzie, cały zapalony żywiołem rewolucii; wtedy on nie zna ani wędzidła, ni boga, ni praw, ni pana, ni ojca, ni

matki; stary osad ligi, barykadów z roku 1789, 1814 i 1830, tak silnie w nim się obudza i fermentuje, iż rzecby można że to zawsze ten sam ulicznik paryski, który podburza miasto od króla Faramonda. Zapach prochu upaja to dziecko, i szaleje on z radości na sam odgłos działa. Stawa on zwykle jakby z naturalnego popędu za stroną słabszą przeciw mocniejszej, za stroną bezbronną przeciw uzbrojonej. Na strzały z pistoletów odpowiada odważnie ciskaniem kamieni; ochoczo i śmiało jakby wytrawiony żołnierz naraża się na zabójcze strzały. Jeżeli mu przypadkiem zleci z głowy czapeczka w motłochu, biegnie ją podnieść choćby z pod nóg galopujących kopyt końskich, tak bardzo się obawia, aby go matka nie wyłajała! Jestto nieustraszony i niczem niepowściągnięty mały urwisz który wyrabia cuda, gracko się wywija i zawsze gotów do psoty i bójki; wsuwa on się zręcznie pomiędzy uzbrojone szyki, wskakuje z tyłu na konia za czwałującym kawalerzystą, jak niewidzialny diablik włazi na działa burczące posępnie; zgaduje kiedy strzały mają wylecieć i rzuca się zwinnie brzuchem na ziemię; kule, zda się, rozpoznają go i przechodzą dalej; nie masz żołnierza któryby śmiał dotknąć go bagnetem, gdyż zdawałoby się żołnierzowi temu iż ma zabić swojego brata lub własne swe dziecko. A uważ to dobrze, iż w tych okropnych zaburzeniach gdzie ważą się państw losy, ulicznik paryski widzi jedynie wyśmienity pretext aby porzucić jaką rękodzielnię, lub wymknąć się ze szkoły, widzi w tem pewien rodzaj zabawki wymyślonej jedynie dla jego uciechy. W tem powszechnem zamieszaniu, osobliwszy ten bohatyr ani pomyśli aby zachwycić w motłochu jaki cukierek lub jabłko; szanować będzie najapetyczniejsze sklepy pasztetników i cukierników. Raz puszczony w ten wir wzburzonego tłumu, jedną ma tylko chęć, jedno życzenie: wedrzeć się gwałtem do pałacu króla i zasiąść na tronie króla; wyłamać drzwi kościoła, i stanąć na ołtarzu boga; wyzwać z urągającym śmiechem wszystkie potęgi szanowane przez ludzi: jemu się zdaje że wszystkie rewolucie nato tylko powstają aby on miał uśmiać się z czego, a śmiech jego jest czysto wolterowski. Jednakże niechaj tylko w tym ścisku który z nieprzyjaciół jego padnie śmiertelnie ugodzony; natychmiast ulicznik paryski zatrzymuje się i sam gotów opatrzyć rannego; lecz chociażby nawet siedział na tronie króla, chociażby wstąpił na ołtarz boga, chociażby, jak to się już widziało, zniszczył w kilku godzinach całą arcybiskupią posiadłość, jeżeli podoba się jego matce wyłajać go, zapytać o chustkę od nosa, albo gdzie tak podarł swoją bluzę? i dla czego tak późno do domu powrócił? Natychmiast nasz bohatyr przed chwilą, nasz monarcha upadły z tronu, nasz bożek występujący ze swego przybytku, nasz burzyciel, patrzcie go, jak daje się swej matce wytrzepać, jak ją całuje i przeprasza z dziecinną pokorą.

Miłe dziecko! tak jest, wolę ja go stokroć w jego dzikiej szczerej naturze, w jego łachmanach, niż tych pięknych wykwintnych paniczyków, których ochmistrzynie oprowadzają z wielką cermonią, i w wielkiej gali po tuilerskim ogrodzie. On z urodzenia przynosi z sobą na świat wszystkie szlachetne instynkta: odwagę, szczerość, zamiłowanie sztuk, przestawanie na małem, ów wielki sekret który uczy żyć szczęśliwie i roztropnie; przyjmuje on, a to jako prawo obcego dziedzictwa jemu się należące, nawet burze i powodzie, nawet głód i morową zarazę; dopomaga nie wiedząc o tem nawet, porodowi wszelkich wzniosłych pomysłów, nieustannej walce wszelkich rywalizujących z sobą sił i opinij; a za swój udział w tem wszystkiem, za swoją krew przelaną, za przyniesioną cząstkę swych zdatności, żąda jedynie w nagrodę aby mu wolno było widzieć paradującego przez *Pont-neuf* nowego monarchę, którego sam na tron wyniósł. Mając za sobą długi szereg przodków, których szlachectwo gubi się w nocy wieków, i rzucony szczęsnym trafem urodzenia w to wielkie miasto, które jest głową świata, umie on ciągnąć korzyści ze wszystkich wydarzeń, wszystkich szczęśliwych trafów, wszystkich miejscowych przywilejów swego rodzinnego miasta, jak młody pastuszek szwajcarski z gór swoich, jak mieszkaniec północy z obszernych swych równin, jak Niemiec z brzegów Renu, ulubionej swej rzeki. Ulicznik paryski umie, rzec można, na pamięć całe swoje miasto, zna on wszystkie jego ulice, zaułki, przejścia, każdy najmniejszy kącik; wybadał z najpilniejszą uwagą jego przedmieścia place i zakręty; przynajmniej z dziesięć razy wydrapywał się na sam wierzchołek wielkiej kolumny, nieraz o mało się niezagubił błądząc w podziemnych grobach, ani przeliczyć ileto on przeglądów odbył na marsowem polu! Ile pięknych przechadzek w parku *Saint-Cloud!* Wie on doskonale że Wolter mieszka w Panteonie, że *l'abbé de l'Epée* jest nauczycielem głuchoniemych. Chodzi on czasem spacerować po galerii luwrowskiej, a tam, wpośród tylu arcydzieł zgromadzonych jedynie dla jego uciechy, filut, który zna się na tem wyśmienicie, zatrzymuje się z dumą nad małym nędzarzem Murilla, arcydziełem Luwru; i osądźcież sami czy ulicznik paryski nie ma z czego się pysznić, kiedy pomyśli sobie, że ani owe piękne madony, ani głowy Rafaela, ani Wenery Tyciana, ani wysoko szlachetni panowie *Vandyka* w całej swej pozłocie i przepychu, niewyrównają ulicznikowi Murilla.

Ale ze wszystkich części miasta, najznajomsze i najulubieńsze, jak mi się zdaje, ulicznikowi paryskiemu są wybrzeża rzeki. Nad brzegami Sekwany ulicznik paryski jest zdrów i wesół jak ryba w wodzie: on cię dokładnie uwiadomi o głębinach i mieliznach: w tem miejscu można przejść bezpiecznie, owdzie jest wądoł, nieco dalej piasek. Wskakuje zuchwale na wszystkie tratwy praczek bez obawy pranika; należy do łowienia ryb każdego rybaka, i żaden nie potrafi ułowić choćby płotkę bez jego bezpośredniej wiedzy i pozwolenia. Gdy nadejdzie lato, nadaremnie żandarm grozi ulicznikowi paryskiemu że mu zabierze suknie, aby go zmusić do przyzwoitszego ubierania się gdy pływa, ulicznik paryski drwiąc pokazuje z daleka figę żandarmowi; zresztą są oni zawsze z sobą w dobrej komitywie, rozumieją się wzajem i kochają. A potem jakżeż tu zabrać suknie ulicznikowi paryskiemu? kiedy on niema żadnych!... Maszeruje tedy poważnie w stanie w jakim go natura utworzyła, z rękoma na plecy założonemi na wzór cesarza, i obchodzi tak wszystkie wysepki Sekwany. Kiedy rzeka zamarznie, ulicznik paryski ślizga się po tych sa-

mych wodach po których latem pływał. Czasem zbierze go ciekawość dowiedzieć się, co też tam przecie dzieje się za temi wodami przy końcu tej rzeki, i wdrapuje się na pierwszy lepszy statek który odpływa. Przybywa tym sposobem aż do Rouen, aż do Hawru, aż do morza. Raz puszczony na morze zostaje majtkiem, i oto płynie do Indiów. Szczęśliwej podróży! Tymczasem szukają go przez dni ośm wszędzie po wszystkich zakątkach w tej części miasta w której przemieszkiwał, matka płacze za nim; a po tem pociesza się wydając na świat drugiego ulicznika paryskiego.

Powiedziałem już wyżej, że ulicznik paryski ma oblicze i postać szlachcica, często nawet posiada on i jego układność: on lubi konie, piękne powozy, muzykę, widowiska, spacery, piękną liberię; o, tak mocno lubi piękną liberię, że nigdyby jej na siebie nie włożył. Nazwij go urwiszem małym, niecnotą, nie będzie się na ciebie gniewał; nazwij go lokajem, a oberwiesz porządne szturkańce. Dnie publicznych uroczystości były niegdyś dla niego ważnemi dniami. Po każdem nowem zwycięstwie obsypywano go cukierkami, napychano kiełbaskami z czosnkiem, i czterofuntowym chlebem; dla niego to fontanny tryskały wtedy winem; dla niego samego tysiące sztucznych ogni ulatywało w powietrze; onto wyłącznie nawet przed wielką armią był królem tych festynów które uświeciły dzieje, a w rzeczy samej, z kogoż składała się gwardia cesarska, jeżeli nie z ulicznikow paryskich? Niestety! dzisiaj biedny nasz bohatyr utracił połowę swych roskoszy i uciech. Pod próżnym pozorem lepiej zrozumianej dobroczynności, ujęto mu łakotki, wino z wodotrysków, chleb czterofuntowy i kiełbaski z czosnkiem. O boleści! ujęto mu nawet teatralne widowiska *gratis*, a nasz ulicznik paryski nie może już jak przedtem iść do najpierwszych lóż i tam wygwizdać według swego widzimisia pannę Mars i pana Talmę. Wielkato nieroztropność popełniona przez rewolucię! zapomniała ona te usługi jakie jej wyświadczył ulicznik paryski podczas trzech dni lipcowych, a ulicznik paryski czasem trochę mściwy, pamiętać będzie o tem zapomnieniu.

W braku *Théatre Français* i opery, ulicznik paryski posiada jeszcze jako swą wyłączną własność kilka teatrów między innemi teatr z *Pont Saint-Martin*, teatr *de la Gaité*, *Ambigu-comique* i inne. W *Pont Saint-Martin* poklaskiwał on pierwszym próbom Wiktora Hugo, ale osądził że w Lukrecii Borgii było zanadto wiele trumien i trucizny; w teatrze *de la Gaité* oddał się bez żadnego wyjątku panu *de Pixerecourt*, Kornelowi bulwarów. Kiedy umarł Wiktor *Ducange*, ulicznik paryski szczerze go płakał, gdyż Wiktor zasłużył na to i posiadał też wszystkie jego sympatie. Onto wyniósł Deburego. Dla przypodobania mu się pani *Saqué* pokilkakroć razy mało sobie nie skręciła karku; cyrk olimpijski pozajeżdżał wszystkie swoje konie: onto zaklął duchy cesarza i wielkiej armii, którą ujrzeliśmy defilujące przy odgłosie trąb i bębnów po tym placu boju, o dwiestu stóp kwadratowych. Pomiędzy rzeczami które on najlepiej lubi po pieczonych kartoflach i grze w piłkę, trzeba jeszcze umieścić małpy, ptaszników z klatkami, harmonikę i wędrownych śpiewaków.

Inny znowu rodzaj jego rozrywek jest, kiedy się przytrafi jeden z tych krwawych wypadków, jedna z tych okropnych tajemniczych zbrodni, pójść i zająć miejsce widza w izbie asysów, dopomnieć się o swą cząstkę konwulsijnych wzruszeń; posiada on cudowny instynkt, rzut oka szybkoobejmujący którym natychmiast zgaduje słabą i mocną stronę tak oskarzenia jako i obrony. Spojrzyj na niego tylko z jak głęboką uwagą przysłuchuje się śledczym badaniom królewskiego prokuratora, odpowiedziom obwinionych obronom adwokatów; już to nie jest ta sama niespokojna figurka która przed chwilą latała jak postrzelona po całem mieście; nie jestto już ów hałaśliwy spektator który napełniał krzykiem i nieporządkiem kojce *ambigu comique* i *port Saint Martin*; jestto sędzia surowy który wyrokuje w głębi swej duszy i sumienia swego: »Tak jest obżałowany jest winny! Nie, obżałowany nie jest winny!« Tym sposobem złożony sąd przysięgłych z tych sędziów ulicznych, niezawodnie wydawałby najczęściej nieposzlakowanej sprawiedliwości wyroki. To dziecię tak wesołe i na pozór lekkomyślne, które umie staczać uporne bitwy z przekupkami i piekarzami, czuje przecież niezwyciężony wstręt ku zbrodni, morderca wzbudza w nim trwogę i odrazę, kradzież połączona z gwałtem wydaje mu się być przeciw wszelkim prawidłom wesołych sztuczek. Dla tego więc jest on bez litości w wyroku jaki sam wydał: idzie za swym potępionym aż do więzienia, aż do haniebnego pręgierza a nawet aż do szubienicy, nazywa to swoim przykładem. »Żandarm, puść mię, abym zobaczył mój przykład.« Tak on mówi; i rzecz prawdziwie okropna, że ulicznik paryski z najzimniejszą krwią wytrzymać zdoła do końca to srogie widowisko, gra w śmierć jakgdyby grał w piłkę; upaja się tym straszliwym widokiem. Tam to on nawyka patrzeć śmiało w oczy najokropniejszym wypadkom rewolucii. Szczególne dziecię, które śmieje się ze wszystkiego, które przyjmuje żarcikami, idącego na śmierć więźnia, które przemawia poufale do krwawego oprawcy jakby do kamrata swego, które gotowe wdrapać się na szubienice i tam potańcować gdyby mu tylko dali; szczególne dziecko, które wyśpiewuje najweselsze piosnki swoje idąc na wystawę topielców i które tam jeszcze spiewa patrząc na jakiego małego biednego jak on ulicznika którego dziś z rana przejechały koła jakiegoś galopującego powozu! a wiesz co on wtedy robi? oto wybiega z tamtąd czemprędzej i aby nie został stratowany pierwszym przejeżdżającym powozem, staje z tyłu za tym powozem, a gdy już raz tam się usadowi, nic go z tamtąd wykurzyć niezdoła, ani bicia ani groźby. Ten powóz jest jego własnością, te konie należą do niego; zachęca je do biegu gwizdaniem i gestami, tylkoż zdaje mu się nakoniec że nie tak prędko biegną jakby należało, i przyrzeka sobie uroczyście nie trzymać długo tego samego woźnicy.

Takiemto jest życie, czyli raczej taką jest ta przedziwna wędrówka dwunastoletniego dziecka wśród życia paryskiego. Jestto, jak widzicie, najszczęśliwsza mieszanina cnót i występków, wad i przymiotów, niedbałości o wszystko i odwagi, przebiegłości i szczeroty, wszystkich cnót najprzeciwniejszych i wszystkich najniezgodniejszych występków jakie tylko zna-

leść można pod słońcem. To dziecię albo raczej ten człowiek tak utworzony obejmuje w sobie, zawiera w treści, to co nazywają *»esprit français«*: niepodległość niczem niepowściągniona, serce szlachetne, głowa ladaco; twarz zawsze wesoła, złośliwość bez żółci, młodość błyszcząca i roztrzepana; wszystkie szlachetne instynkta, pojęcie najbystrzejsze, rzut oka najprzenikliwszy, mina dowcipna i filuterna, próżność najbardziej czarująca; takim jest ulicznik paryski. Nie jest on bynajmniej produktem wieków, jak również nie jest dziełem wychowania; on się narodził przed wiekami, narodził się sam z siebie i przez siebie; od siebie jedynie pochodzi; a dzieje których on był cząstką przeszły po nad jego młodocianą główkę, nie dotknąwszy jej ani uchyliwszy. Takim jest on dzisiaj i takim był na początku monarchii francuskiej. Szczególniej to o tem dziecku możnaby powiedzieć; on się niczego nie nauczył; on nic nie zapomniał; ulicznik pod Karolem wielkim, ulicznik pod Ludwikiem dziewiątym, ulicznik pod Franciszkiem pierwszym, ulicznik pod Ludwikiem czternastym i następnemi Ludwikami, nigdy on się nie troskał ani o monarchów którzy panowali, ani o prawa którym podlegać było trzeba, ani o wawrzyny chwały, które mu zrywać kazano; on nigdy niebył ani katolikiem ani protestantem, on był zawsze rewolucijonistą, rewolucijonistą nie z zasad ale z uczucia; nie dla osobistej swej dumy, lecz dla swej uciechy; i ponieważ go to bawi przewracać tak wszystko wkoło siebie. Nigdy on niepodchlebiał żadnej władzy, nigdy nikomu nieulegał; na niego w niczem rachować nie można, nawet na zapał jego. Na nikogo on się długo nie gniewa i nikomu niepotrafi długo być wdzięcznym. Daj mu grosz, on ci się wykrzywi; odmów mu go, on ci się znowu wykrzywi. Żadna w świecie potęga, żaden najgłębszy polityk, nie zdołali wynaleść sposobu ugłaskania, powściągnienia, ujarzmienia tego niepowściągnionego małego człowieka: ani siła ani bojaźń nic z nim niewydoła; sławą tylko możnaby go trochę dojechać, ale jeszcze trzeba aby to był jeden z tych wielkich, świetnych i niezaprzeczonych czynów sławy jakie się rzadko wydarzają na świecie; takimto jest nasz bohatyr. Ani politycy, ani siła wojskowa, ani mowcy, ani sam prefekt policii, nic mu nie pomogą.

TEATR.

Po całomiesięcznej przerwie zaczęły się na nowo przedstawienia sceny polskiej od dnia drugiego września, zawsze szczerze oczekiwane, zawsze uczęszczane. Za prawdę wyznać trzeba że nasi artyści nie szczędzą usiłowań by grą swoją zadowolnić publiczność nagradzającą im sowitemi oklaskami; i z tego stanowiska można uważać publiczność naszą w stosunku do artystów, osobliwie dawnych, co tu między nami w lata i talent wzrośli, jak dwoch starych przyjaciół, którzy przetrwawszy długich lat złe i dobre koleje, znając doskonale wszystkie swoje przymioty i przywary pobłażają sobie nawzajem. Jakoż nieraz choćby może wypadało by przyjaciel przyjacielowi prawdę powiedział, lub jeden mniej pochlebiał narowom drugiego, dawne zasługi przychodzą jakoś na pamięć; troche rozczulenia z jednej strony, lenistwa z drugiej, i zgoda nie szwankuje. Do dawniejszych artystów przybyło wielu nowych, i niemożemy tylko dziękować dyrekcii teatru polskiego za jej staranność w tym względzie; a wdzięczność nasza zwiększy się niemało gdy jak słyszemy z równą troskliwością wybierać będzie sztuki do swego repertuarza. Dobre zaś powodzenie teatru najwięcej na tem zależy, najlepszy bowiem aktor w złej sztuce nietylko wydać się nie może, ale nawet przyzwyczaiwszy się do ról pośledniejszych, w których natęża się bez potrzeby byle oklaski pozyskać, nie wydoła potem rolom większym; jak zgarbiony długiem nawyknieniem do niskiej powały, nie łatwo się wyprostuje ku wyższemu sufitowi pałacu lub nieba. Z tego powodu nie wiele powiemy o nowych artystach, bo nie chcemy ich grę szacowwać na miarę sztuk w jakich dotąd występowali. A przecież z pomiędzy kobiet nie można odmówić talentu pani Chełchowskiej i pani Walde, z których pierwsza odznacza się naiwnością i zgrabnością, którym szkoda że tak słabe towarzyszą piersi, a druga znana jest nawet zaszczytnie w świecie literackim jako autorka. Do mężczyzn przybyli p. Chełchowski, p. Richter, który w tych małych rolach jakie dotąd odegrał, dał dowody wyższego pojęcia sztuki, i rutyny, dla których to własności Kraków dotąd za nim żałuje; a nareszcie pan Zenopolski, który już występował i w dramatach i w komediach, i w obydwoch rodzajach udają mu się doskonale charaktery najostateczniejsze, czyto zbrodni najczarniejszej, czy głupstwa najgłupszego. W wyższym dramacie, i w wyższej komedii jakby grał? niewiemy, bośmy go jeszcze w tych niewidzieli rolach, bać się tylko należy czy mu w nich nie stanie na zawadzie twarz mniej szlachetna, temsamem więcej odpowiednia rolom jakie dotąd oddawał. Brak że się tak wyrazimy rysów dramatycznych, zastępuje on inną własnością prawdziwie dramatyczną, to jest, dziwną i raptowną zmianą głosu. Czy tylko przejście to z głosu w głos niebywa czasem za gwałtowne, co dobrze brzmi zapewne w uczuciach excentrycznych, skaczących z ziemi w niebo i na powrót; ale w naszych zwyczajniejszych ziemskich stosunkach należałoby może przejście to cieniować jak w muzyce z tonu w ton. Co by nie było ostateczny sąd tak o nim jak i o drugich zawiesimy do poźniejszego czasu, radzi zawsze z ich przybycia do naszej sceny, mianowicie p. Zenopolskiego, w którym lepszego przewidujemy artystę, i choć naszego Nowakowskiego i Smochowskiego nie przegoni ani zastąpi we względach tutejszej publiczności, jak wiele przecie ich sobie zaskarbił, sądzić można po oklaskach z jakiemi przyjmują każde jego wystąpienie... Nie dosyć na tem, ale słyszymy już od dawna o pojawieniu się nowej a pełnej nadziei artystki, która w przyszłym miesiącu po raz pierwszy ma wystąpić. Wiedziona czystym zapałem, i wewnętrznym przeświadczeniem o przeznaczeniu swojem porzuciła panna Cynecka życie prywatne, by się zupełnie oddać zawodowi dramatycznemu: i może zajść wysoko, mając za sobą młodość i wdzięki, chęci i pracę, głos silny i giętki, spiewny i wyrazisty, a wzrok pełny ognia który łyska, i wyrazu który go cieniuje. Między innemi rolami ma także występować jako dziewica orleańska: nie małe zaiste zadanie!... Tak o jej wystąpieniach, jak i w ogóle o scenie polskiej będziemy dawać od czasu do czasu wiadomości, które ze stanowiska sztuki niemało zapewne czytelników naszych obchodzić będą.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.